Zbigniew ŻAKIEWICZ

POLSKA JEST WCIĄŻ KRESAMI

Gdy myślę – Ojczyzna, myślę przede wszystkim – Kresy. Tam się ukształtowałem, tam musiały rozwijać się moje kody genetyczne, gdyż zarówno po mieczu, jak i po kądzieli rodowód mój sięga wiele pokoleń wstecz w historię rodów zamieszkujących Wielkie Księstwo Litewskie: będą to Żakiewicze (pierwsza wzmianka z 1620 roku – niejaki Janko Żakiewicz, kanonik żmudzki), Ławrynowicze, ze strony matki – Oganowscy, Śnitkowie, Karczewscy...

Z biegiem lat Kresy stały się dla mnie ojczyzną duszy, ziemią mityczną i metafizyczną. Aż wreszcie, już w dojrzałości, pojąłem, że kresowość jest czymś bliskim dla całej polskości, jeśli ma być ona żywa, otwarta na inność, miłująca „małe ojczyzny" i dążąca do Uniwersum.

Przejdźmy do rzeczy. W swym pięknym eseju W dolinie Dniestru *Jerzy Stempowski pisze, że miał szczęście żyć jeszcze w czasach i miejscach, gdzie „narodowość nie była fatalizmem genetycznym [...]. Cała ogromna część Europy, leżąca między Morzem Bałtyckim, Morzem Czarnym i Adriatykiem, była jedną wielką szachownicą ludów, pełną wysp, enklaw i najdziwniejszych kombinacji ludności mieszanej [...]. Wszystkie odcienie narodowości i języków znajdowały się w stanie częściowo płynnym. Synowie Polaków stawali się nieraz Ukraińcami, synowie Niemców i Francuzów – Polakami". Dalej Stempowski czyni kapitalne spostrzeżenie, które może być kluczem otwierającym niepojęty dla wielu współczesnych Polaków Sezam: „W czasach tych narodowość nie posiadała charakteru nieuniknionej fatalności rasowej [...]. Życie wewnętrzne grup narodowościowych pogłębiało się i rafinowało przez ponownie dokonywane wybory indywidualne i niezbędną do tego interpretację. Wybór bowiem wymaga rozważenia przynajmniej dwóch alternatyw w całej ich rozciągłości, stanięcia na rozdrożu, z którego widać od wewnątrz obie drogi".*

Józef Czapski oceniając osobowość Jerzego Stempowskiego zapytywał: „Czy należy wykreślić tego kosmopolitę rodem z Ukrainy z wzorca inteligencji polskiej? Zamknąć Polaków w świecie wyłącznie utylitarnego nacjonalizmu, czy to nie skazanie nas, abyśmy przestali być sobą? Na to trzeba by nie tylko zetrzeć gumą parę ostatnich faktów z historii, ale przekreślić całą naszą tradycję Rzeczypospolitej Obojga Narodów, której Jerzy Stempowski był najczystszym wyrazem"[1].

---

[1] J. Czapski, *Dwie prowokacje*, w: *Tumult i widma*, Paryż 1981.

Przypominam siebie jako nastolatka, który w 1946 roku został rzucony z mateczników Wileńszczyzny do Łodzi. Pamiętam jak boleśnie odczuwałem nietolerancyjność moich łódzkich kolegów, którzy zamieszkując w centrum kraju nie mieli wyobraźni do inności, gdyż polskość dana im była dziedzicznie i bezproblemowo. Tymczasem ja już zdążyłem zachłysnąć się tą niepowtarzalną atmosferą miejsca na rozdrożu, dojrzewaniu mojemu nadal patronowali ludzie stamtąd: przyjaciele moich rodziców – sąsiedzi spod Krewa, Smorgoń, Mołodeczna czy ze stołecznego Wilna.

Tak. My byliśmy inni. Nauczeni być „tutejszymi". „To znaczy – jak pisał mądrze Antoni Gołubiew – nie tylko tutaj urodzeni, ale uważający tę ziemię za swój rodzinny grunt, za ojcowiznę, za kraj, do którego należę [...]. Być może w odpowiednich warunkach – pisał dalej autor Bolesława Chrobrego *– nie wykluczone było wytworzenie się na Kresach odrębnej narodowości, wyrosłej z żywej jeszcze, aczkolwiek nie dość jasno odczuwanej tradycji, być może trój- (lub nawet więcej) językowej, kulturalnie złożonej, zachowującej swoją samoistność, chociaż czerpiącej żywe soki od sąsiadów"*[2].

Będąc więc „tutejszymi", wcale nie byliśmy zamkniętym zaściankiem, jakąś zaskorupiałą glebą niezdolną przyjąć żywego ziarna. Przeciwnie. Na tym polegał p a r a d o k s K r e s ó w, że jeśli znajdował tam schronienie świat wczorajszy, to świat ten jakby tylnymi drzwiami otwarty był na Uniwersum. Nie tylko dolina Dniestru Stempowskiego „pełna była wspomnień historycznych, pamiątek po wszystkich wielkich cywilizacjach Europy", również na Białorusi trwała żywa pamięć Litwy i Moskwy, Wikingów i Szwedów czy napoleońskiej epopei.

A jeśli owe „tylne drzwi" wiodące w historyczną przeszłość zarastały trawą zapomnienia, to sam człowiek Kresów miał we krwi otwartość wobec świata, żywą inteligencję i ciekawość innych, tak typową dla wszystkich mieszańców i Metysów. Dlatego na Kresach w sposób naturalny odbywał się proces, jaki zazwyczaj ma miejsce w przelotowych punktach świata: d ą ż e n i e d o u n i w e r s a l n e g o przy ogromnym poczuciu własnej wartości i „samoswojości". Obserwowaliśmy tam coś w rodzaju sprzężenia zwrotnego: małe ojczyzny, będące rezultatem mieszania się narodów, religii i kultur, otwarte na cztery strony świata, słynące ze swych traktów, które niby życiodajne arterie łączyły Euro--Azję – prowadziły do Uniwersum.

Dzięki temu Uniwersum wychodziło ze sfery abstrakcji, książkowego naczytania, narzuconej ideologii, stając się czymś podstawowym i zarazem czytelnym, podobnym Miłoszowej Laudzie, o której autor

[2] A. Gołubiew, *Największa przygoda mojego życia*, „Znak" 1981, nr 11.

Rodzinnej Europy *pisał, że powołała ją do życia ta sama potrzeba umysłu, która stworzyła – „geometrię i nauki ścisłe, filozofię i religię, moralność i sztukę". I ta wieczna pamięć o podobieństwie ludzkich losów, bez względu na rasę czy język, czyniła nas otwartymi i zarazem wskazywała na wagę naszych zaścianków, okolic i rodzinnych wiosek.*

Byliśmy więc wciąż rozdarci (jak wszyscy ludzie pogranicza) pomiędzy sprzecznymi siłami, ambiwalentni, podwójni. Pomiędzy siłą dośrodkową, dążąc do zaścianka, gdzie człowiek w pełni czuł się u siebie, a siłą odśrodkową. Uniwersum mogło być dla nas, i było, „rodzinną Europą", ale też otwierało na inne wartości. W tym biegu ku powszechności losów człowieka odkrywaliśmy siłę i wagę religii, którą przeżywaliśmy intensywnie i egzystencjalnie.

Gdy jednak spojrzymy na fenomen Kresów z punktu widzenia racji narodowych, musimy zdawać sobie sprawę z kosztów, jakie Centrum płaci na pobrzeżach, tracąc swój stan posiadania lub go umacniając. Jestem głęboko przekonany, że jeśli Polska ma być krajem żywym i otwartym dla innych, nie powinna troszczyć się o ponoszone straty, lecz przede wszystkim powinna strzec swej historycznej pamięci Rzeczypospolitej Wielu Narodów.

Znany jest fenomen, że Polska utraciwszy byt państwowy, w dalszym ciągu asymilowała „inorodców". Na wsi wileńskiej proces polonizacji ludności białoruskiej wyraźnie się nasilił właśnie w XIX wieku. Pamiętam, jak często Antoni Gołubiew, mówiąc o atrakcyjności polskiego wzorca kulturowego na Kresach, jako przykład dawał historię swego rodu (jego ojciec był z pochodzenia Rosjaninem). Iluż to wybitnych uczonych i artystów pochodzenia niemieckiego, rosyjskiego, żydowskiego i czeskiego zasiliło polską kulturę w XIX wieku, wieku niewoli. Zjawisko to przyjmowane było jako rzecz dobra, konieczna i zrozumiała. Gorzej było, gdy droga z Kresów wiodła do Petersburga, Kijowa, Berlina czy Wiednia, a nie do Warszawy i Krakowa.

Na przykład droga do Berlina prowadziła często przez Gdańsk. Ostatnio czytając Wspomnienia gdańskiego bówki *Brunona Zwarry o gdańskim międzywojniu dostrzegłem, jak dużo etnicznie kaszubskiego żywiołu wtopiło się w żywioł niemczyzny. Gdańska niemczyzna zyskiwała pociągającą swą odmiennością wersje swoich Kresów. Dziś sztandarową postacią tego pokroju gdańszczanina jest Günter Grass: z matki Kaszubki, ojca gdańskiego Niemca.*

Ta wymiana jest wyrazem owego wolnego wyboru, przed którym jest postawiony każdy człowiek Kresów. Gdy w Niemczech doszła do głosu ideologia „krwi i rasy", Gdańsk, typowe miasto Kresów, przestało być miejscem transmisji wartości duchowych i kulturowych, a stało się miastem nienawiści, pogromów, aby wreszcie w swych gruzach pogrzebać hitlerowski sen o potędze.

Zrozumienie tego, kim jesteśmy jako naród, jaka jest nasza Ojczyzna, kryje się w pracy i pamięci pokoleń. Nigdy zaś w micie rasy, krwi, w owym „fatalizmie biologicznym". Ojczyzna powinna służyć naszej duchowej wolności, powinna zawsze skłaniać nas ku temu, co jest dobre i autentyczne. Trzeba pamiętać, że wkroczenie myśli niemieckiej na obszary mitologii „krwi i rasy" odepchnęło ludy ościenne. Znowuż, podbita, ubezwłasnowolniona politycznie Polska XIX-wieczna, siłą i atrakcyjnością swojej wersji kultury zachodnioeuropejskiej, potrafiła spolonizować pogranicze.

Na początku lat siedemdziesiątych odbyłem pouczającą podróż po Ukrainie, zahaczyłem o Kijów i Odessę, a następnie odwiedziłem Mińsk i Wilno – dziś jakże ważne dla Litwinów. Był też wypad do Gruzji. Otóż w każdym z tych centrów życia narodowego odnalazłem ten sam powtarzający się z zastanawiającą prawidłowością wizerunek Polski. Ludzie sztuki, nauki, kultury, elita owych nacji dosyć często znała przynajmniej biernie język polski, dobrze orientowała się w naszej geografii duchowej i kulturowej. Byliśmy znani albo przynajmniej zrozumiali i przystępni, wzbudzając autentyczne zainteresowanie.

Pojąłem wówczas niejako poglądowo, że Polska z uwagi na swe okcydentalne położenie, swoją wielowiekową więź z kulturą zachodnioeuropejską, poczuciem osoby ludzkiej, z drugiej zaś strony – ze względu na historycznie ukształtowaną więź ze wschodnimi narodami Europy, jest naturalnym łącznikiem ze światem Zachodu. Polska jest po prostu najbardziej strawną i przyswajalną Europą, stanowi ważny kontrast wobec dynamicznej i nieraz zaborczej kultury rosyjskiej, jest też krajem interesującym i atrakcyjnym, który nie grozi zniszczeniem młodych kultur narodowych.

Patrząc więc z perspektywy Wschodu cała Polska jest pobrzeżem, kresami Europy Zachodniej. Znane Liebertowskie powiedzenie, że Polska nie jest ani Wschodem, ani Zachodem, owo stanie w otwartych drzwiach, nabiera nowego, głębszego sensu. Tak jak dla Gombrowicza polska „niedojrzałość" stała się szansą i źródłem odradzającym naszą kulturę, tak też nasza sytuacja duchowa ludzi wciąż określających się i poszukujących swego miejsca, to rozdarcie między Wschodem i Zachodem, między Bizancjum a Rzymem – jest naszą wielką szansą.

Jeśli Stanisław Łempicki uważał, że cechami wyróżniającymi literaturę kresową były: religijność, rycerskość, epickość i poczucie odrębności obszaru, to patrząc na kresowość jako na model „bycia Polakiem" powinniśmy za Stempowskim dorzucić – o t w a r t o ś ć. Kresowość nie jako „przedmurze", nie jako Ślimakowa placówka, którą trzeba za wszelką cenę utrzymać, lecz jako nabyta w wielowiekowych doświadczeniach umiejętność do zrozumienia inności, jako talent do przyswajania i przetwarzania obcych kultur.

Orientalny strój sarmacki, który przywdziewał polski szlachcic, na co dzień obcując z łaciną i kulturą włoską, później francuską – oto plastyczny wizerunek tej niepowtarzalnej sytuacji, która z Rzeczypospolitej czyniła wielkie Kresy Europy i zarazem Wschodu. I jeśli w literaturze polskiej w okresie zaborów pojęcie kresów rozszerzyło się na zachód, północ i południe[3]*, z akcentowaniem konieczności utrzymania kresowej placówki, to samo życie wykazało, że placówka ta musiała być miejscem nieustannego wyboru, miejscem, skąd ogarniało się kulturę rosyjską, niemiecką, ukraińską, białoruską czy litewską niejako od wewnątrz. Ta perspektywa rozdarcia, współodczuwania i współuczestniczenia czyniła tym bogatszą polską kulturę, im więcej wchłaniała ona inności.*

Powiedzmy jasno: wyzwanie, jakie niegdyś zostało rzucone Rzeczypospolitej Wielu Narodów, krajowi znajdującemu się na wielkim rozdrożu historycznych traktów i dróg, dziś jest równie aktualne. Jest to sprawa tożsamości i niezależnego narodowego bytowania.

---

[3] Zob. J. Kolbuszewski, *Legenda kresów w literaturze XIX wieku*, „Odra" 1982, nr 12.